

Cokolwiek można powiedzieć nad tym grobem, nic nie wyrazi nieszczęścia, że opuścił nas Jan Lechoń, i nic nie pomniejszy grozy, że opuścił nas w sposób tak okrutny. Ale nie przyszliśmy tu po to, aby uzalać się nad sobą. Mamy spełnić wobec Niego ostatnią posługę i nie wiem, czy może ona być czymś innym, niż oddaniem duchowi Lechonia tego, co było w nim z łaski Boga, zanim oddamy ziemi to, co jest ziemskim szczątkiem człowieka.

Odszedł od nas poeta, który miał, ma i zawsze mieć będzie własne, jedno z pierwszych miejsc w sztuce polskiego słowa. Zaczął pisać bardzo wcześnie, mając osiemnaście lat był autorem Karmazynowego poematu, i już wtedy, kiedy w pięciu zaczynaliśmy naszą młodość literacką, zdumiewał nas dojrzałością. Dziś, po latach, można bez omyłki powiedzieć, że objawił się jako geniusz. Pisał mniej, niż pragnęliśmy wszyscy kochają- cy jego wiersze, bo odpowiadał mu rodzaj poezji oszczędnej i opanowanej, która spośród różnorodnych wzruszeń wybierała najważniejsze i szukała dla nich wyrazów monumentalnych. Ani patos, ani uniesienie porywające go tak często nie rozbijały mu klasycznej formy, potrafił też najbardziej wzburzoną treść utrzymać w umiarze. Doszedł do takiego mistrzostwa w narzucaniu spokoju najbardziej tragicznym tematom, że podczas wojny pisał wstrząsające wiersze w trzech strofach, w których rozgrywały się trzyaktowe dramaty Polski, Warszawy, Monte Cassino, Piłsudskiego – tej ogromnej, jak go nazywał, postaci – Mickiewicza, Książnina i wrześnieowej Iliady zakończonej przez poetę słowami: „Na końcu będzie wszystko / wyglądać inaczej. / Ja dawno już mówiłem: / Kasandra się myli”.

Tak, Lechoń mówił to już dawno i mówił stale. Podtrzymywał w nas nadzieję i budował ją z wielkich zasobów swojej wiary, która wydawała się niewyczerpana. Wierzył w Polskę, jak wierzy się w Pana Boga, i kochał ją, jak kocha się Boga. Polska żyła w nim otoczona tą miłością jak aureola – w stałej apoteozie. Dziś, kiedy odchodzi od nas ten wielki poeta, bogaty intuicyjny umysł i nieskazitelny Polak, wydaje się, że odchodzi z nim także część Polski, którą przywieźliśmy z sobą i z którą chcielibyśmy wrócić. Straty naszej nie potrafimy odzłować, ale cud sztuki sprawia, że obszar jej sięga poza człowieka i jego doczesność. Lechoń umarł, ale jest wśród nas żywy i obecny – i takim zostanie zawsze wśród Polaków. Jego słowo, myśl i uczucie należą do nas wszystkich, tu na obczyźnie i tam w kraju.

Żegnam go w imieniu pisarzy i w imieniu przyjaciół. Miał ich wielu – przyjaciół gorących, oddanych, a nawet fanatycznych. Potrzebował przyjaźni przez całe życie i szukał jej jak lekarstwa na dokuczliwą samotność. Myśmy go też potrzebowali i czyśmy się z nim zgadzali, czy nie, był dla nas pomocą i oparciem. Zdarzało się, że oddalał się od ludzi i oddalali się ludzie od niego, ale potem następował obopólny powrót, z obopólną radością. Nikt nie mógł oprzeć się jego fascynującej osobowości i wyrzec się dumy, że był z nim w przyjaźni. W jednym wierszu Lechoń napisał taką strofę:

*To, w co tak trudno nam uwierzyć,*

*Kiedyś się przecież stanie jawą,*

*Więc pomyślałem: chciałbym leżeć*

*Tam, gdzie mój ojciec – pod Warszawą.*

I oto śmierć jego stała się jawą. Składamy Lechonia do grobu. Ale nie będzie leżał tam, gdzie jego ojciec i matka, która go tak bardzo kochała. Będzie leżał w obcej ziemi i czekał na wolność ziemi własnej. I doczeka się tej wolności, bo przecież dawno już nam mówił, że „Kasandra się myli”.

Leszku kochany, żegnam Cię. Mam tu zawiniątko z ziemią z Polski, spod Warszawy. Rzucam Ci tę ziemię, pod nią będzie Ci lżej.